płomyczek
DWUTYGODNIK DLA DZIECI 16–31 · X · 1985
20

fot. Stefan Rutkowski

Dzień dobry z uśmiechem

Rys. Zdzisław Byczek

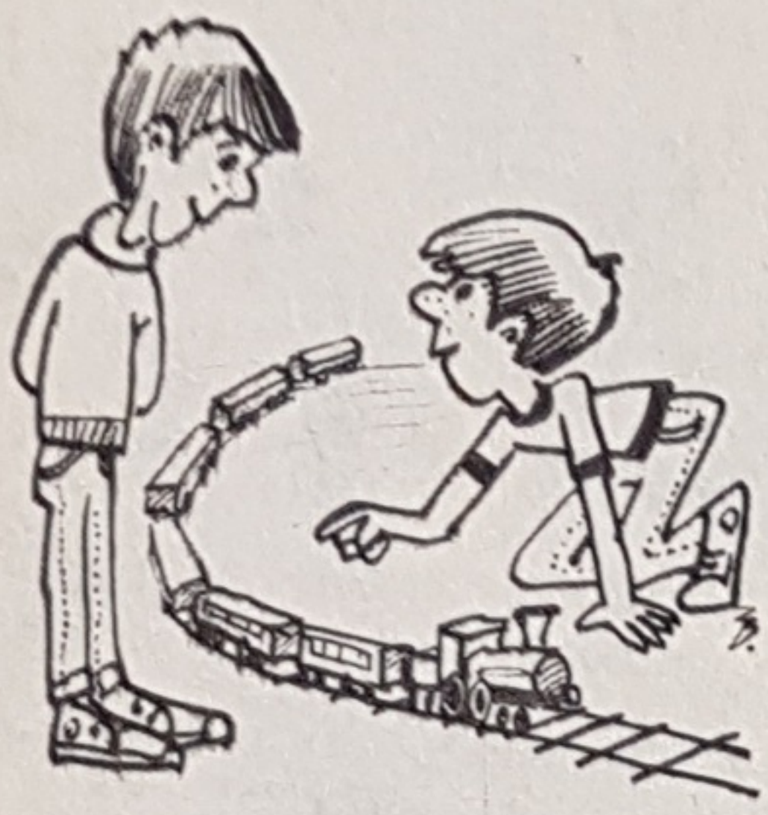

— Jest trochę uszkodzony, bo często bawi się nim tata.

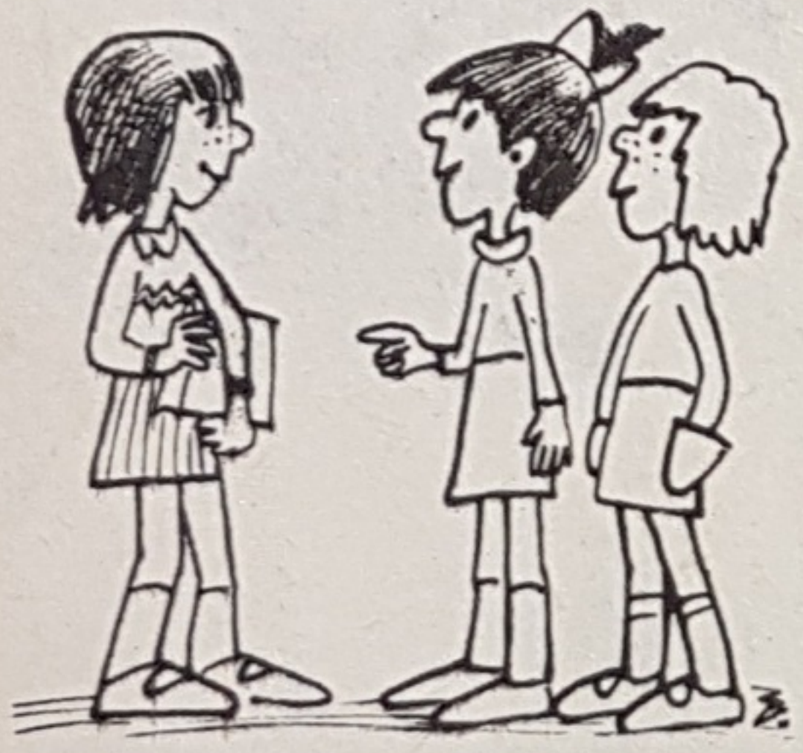

— To moja ulubiona lektura, więcej w niej ilustracji niż tekstu.

— Ale to była taaaka dwója!

A TO CIEKAWE!

NAJWIĘKSZYM ssakiem drapieżnym nie jest król zwierząt — lew, jak się powszechnie uważa, lecz biały niedźwiedź polarny, mieszkaniec lodów Arktyki. Samce białych niedźwiedzi osiągają 3 metry długości i ważą ponad 800 kg. Natomiast waga lwa nie przekracza 200 kg, a długość 2 metrów. Ociężałe z wyglądu białe niedźwiedzie należą ponadto do najlepszych pływaków wśród drapieżników. Pływają one z prędkością 7 km na godzinę.

●

MAGNITOGORSK — miasto w ZSRR i duży ośrodek przemysłowy, leży na pograniczu dwóch części świata — Europy i Azji. Oba kontynenty oddziela rzeka Ural. Z Europy do Azji można tu przejechać autobusem lub przejść pieszo.

●

DRZEWA rosną wyłącznie w nocy. Jak wynika z licznych i niezwykle dokładnych pomiarów, 90 procent przyrostu drzewa w ciągu doby przypada na czas zupełnej ciemności, a pozostałe 10 procent na wieczór. Dzień jest dla drzewa czasem pełnego odpoczynku.

NRORONG ORO — jest wygasłym wulkanem w Tanzanii (Afryka). W jego kraterze, który ma 20 km średnicy, znajduje się kilka wiosek koczujących plemion Masajów. W kraterze tym żyją także lwy, słonie i inne zwierzęta.

●

BEZ WODY nie można otrzymać żadnego produktu przemysłowego. Im produkt szlachetniejszy, bardziej skomplikowany, tym zużycie wody jest większe. Np. do wyprodukowania 1 grama streptomycyny potrzeba 2000 metrów sześciennych wody, 1 tony włókna sztucznego i 1 tony papieru — 1000 m sześciennych, 1 tony kauczuku syntetycznego — 80 m sześciennych, 1 tony stali — 20 m sześciennych.

●

FIOŁEK ALPEJSKI (właściwa nazwa — cyklamen lub gduła) wbrew swej nazwie wcale nie pochodzi z Alp, lecz z Grecji i Cypru. Na dodatek nie jest fiołkiem, ale rośliną z rodziny pierwiosnkowatych. Cyklameny rosną dziko w krajach śródziemnomorskich. U nas znane są tylko jako rośliny ozdobne, rosnące w doniczkach.

Nasza okładka:

Tak zaczynali wszyscy planiści

ODLATUJĄ LIŚCIE

Kiedy słota jesienią nastaje —
odlatują liście w ciepłe kraje.
Wczoraj z rana
odleciały liście kasztana.
A za nimi,
koło dwunastej,
drobne listki wierzby dziuplastej.
Po południu,
jak chwycił mróz,
odleciały liście brzóz.
A z wieczora
trzepot był i szum na jaworach.
Odleciały rude,
żółte,
czerwone.
Odleciały wszystkie w jedną stronę.
Ludzie ich nie spostrzegli prawie.
A kto widział,
mówił sobie:
— To żurawie.

Joanna Kulmowa

Rys. Hanna Nowak

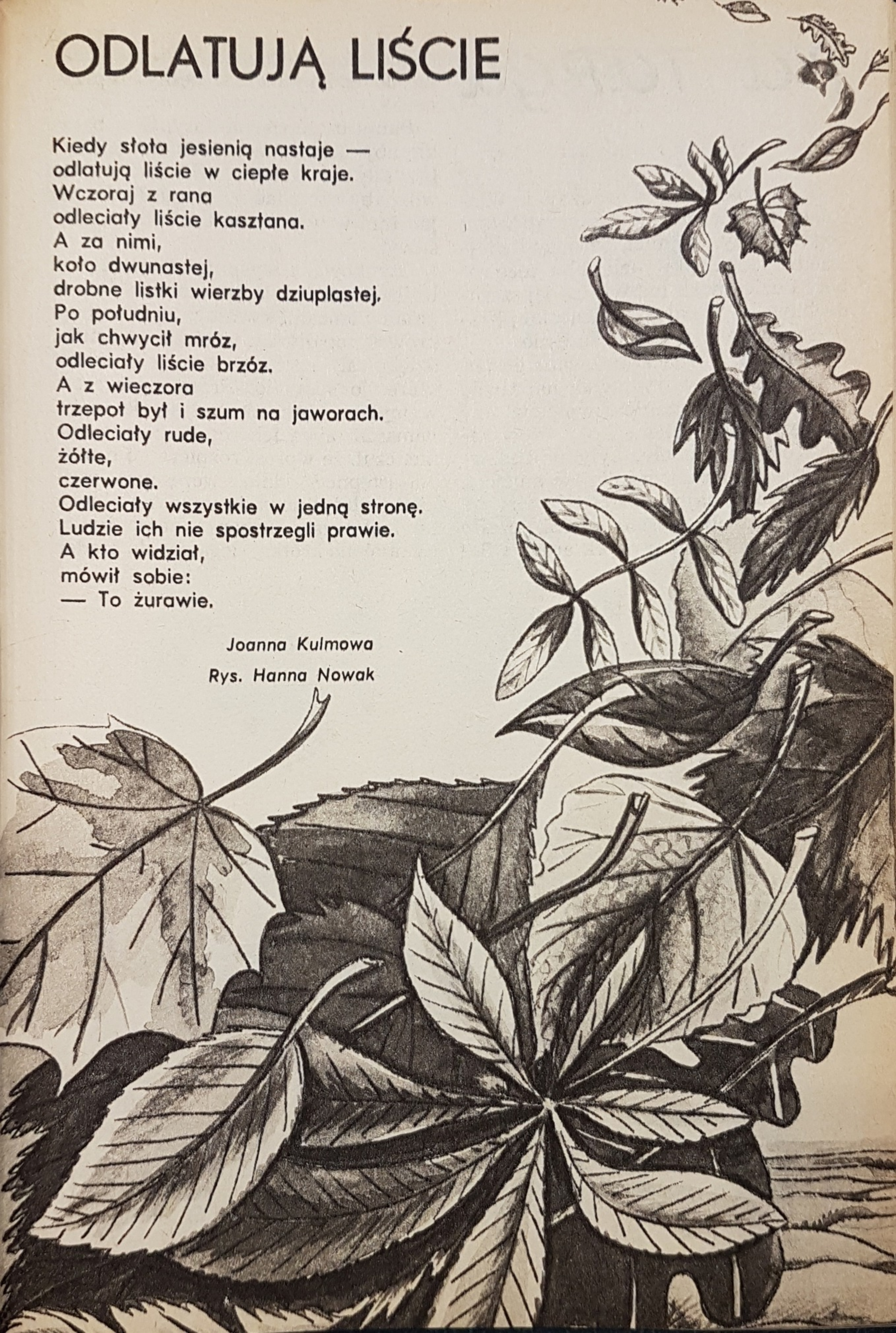

NA TARGU

(opowieść hinduska)

Był to rok obfitych urodzajów. Wieśniacy z radosną dumą zbierali z pól bogate plony. Najmici, parobcy i wiejskie majsterklepki mieli pełne ręce roboty i dziękowali naturze za jej szczodrobliwość. W całej pendżabskiej krainie panowały radość i szczęście.

O brzasku, jadąca karawana gospodarskich wozów wyglądała naprawdę niezwykle. Brzęczenie dzwonków przy uprzęży i skrzypienie kół wozów zaprzężonych w woły, były najcudowniejszą dla uszu wieśniaków muzyką, taką lubili najbardziej. Niektórzy z nich śpiewali wesołe pieśni, często przygrywając sobie na ektarach i flecie. Inni zaś jechali zamyśleni, dumając, co też im jeszcze szczęsny los przyniesie.

Banta część ziarna nasypał w beczki, aby zostało w domu na chleb i przyszły siew, resztę zaś załadował na wóz, aby sprzedać na targu. Podobnie jak inni w wiosce, on także był szczęśliwy.

Otynkował i wysprzątał stodołę, aż lśniła i pachniała czystością. Potem umaił wieńcami kwiatów szyje swoich krów i, zapaliwszy trociczki kadzidła, dziękował bogom za wszelkie dobro, które go spotkało. Przed wieczorem wymył i wyszczotkował swoje woły, namaścił oliwą ich rogi i, patrząc na nie, czuł, że wprost rozpiera go duma.

Następnego dnia, wczesnym rankiem, włożył nową koszulę, na głowie zawinął czysty turban i, narzuciwszy na ramiona krótką, sięgającą do bioder

kamizelkę, spytał syna, czy zechce mu towarzyszyć w drodze na targ. Potem pochylił się z szacunkiem do kolan swojej matce, a jego syn do nóg matki i babki. Pendżabski obyczaj bowiem nakazuje zawsze oddawać szacunek matce, ziemi i krowom, które są życiodajną cząstką natury. Dopełniwszy obowiązku pożegnania, obaj, ojciec i syn, wyruszyli na targ.

Przy wjeździe na targowisko zatrzymali się za zagrodą, gdzie wystawiono na sprzedaż owce, kozy, muły, wielbłądy, wodne bawoły i krowy. Syn Banty uważnie rozglądał się dookoła.

Znajdowali się tam także chłopcy w jego wieku, którzy, dosiadając koni, zachwalali ich zwinność, siłę i urodę.

Nagle dostrzegł cudną klacz dereszowatej maści o prześlicznej linii. Zapragnął ją mieć, więc poprosił ojca, aby wytargował cenę. Banta spytał o cenę klaczki i w odpowiedzi usłyszał, że kosztuje ona trzysta rupii. Odwrócił się na to bez słowa i poszedł w kierunku targowiska. Po chwili idący obok niego syn zapytał:

— Dlaczego nie kupiłeś jej, ojcze? Trzysta rupii wydaje się zupełnie niedrogo. Wnuk Zory zapłacił czterysta za wiele gorszą.

— Synu, to dla nas o wiele za drogo. Nie stać mnie na taki wydatek — spokojnie odpowiedział Banta.

Mimo trapiących go wątpliwości syn zawsze słuchał swojego ojca, po pierwsze dlatego, że ojciec go karmił, po wtóre zaś dlatego, że ojciec był człowiekiem prawdziwie mądrym.

Tego dnia handlowano dużo i pomyślnie. Banta i jego syn również sprzedali wszystkie swoje produkty i wzięli za nie dobre ceny, co zresztą nie było dziwne, gdyż Banta miał zawsze ziarno lepsze od innych. A było tak dlatego, że kochał ziemię, uprawiał ją solidnie, starannie dobierał ziarno na siew, no i nie stronił od rolniczych nowinek.

— Żeby mieć pieniądze — pouczał syna — trzeba na to wiele lat pracy.

Chodzili po targowisku i zaglądali do kramów. Banta kupił ozdobne przybrania dla wołów i krów. Potem wykosztował się na podarunki dla rodziny: szklane bransolety i wstążki dla małej córeczki, pierścionki i ozdobne zapinki dla żony i nową laskę dla swojego starego ojca. Dokonawszy sprawunków zaszedł wraz z synem do sklepu ze słodyczami, gdzie zafundowali sobie poczęstunek z różnego rodzaju łakoci. Potem, krążąc jeszcze między straganami, nabyli wspaniałą oprawę z satyny do Świętej Księgi znajdującej się w ich wioskowej świątyni.

Wreszcie przyszła pora odjazdu do domu. Opuszczając targ zatrzymali się jeszcze przy zagrodzie u wjazdu na targowisko, spotkali bowiem przyjaciół i znajomych, których widywali z rzadka i przy wyjątkowych, jak choćby dzisiejsza, okazjach. W pewnej chwili spojrzeli w stronę zagrody, gdzie rano była wystawiona na sprzedaż klacz. Aż podskoczyli z radości widząc, że stoi ona tam nadal. Ponownie spytali o jej cenę, lecz teraz usłyszeli, że kosztuje już czterysta rupii. Banta podszedł do konia, zajrzał mu w zęby, poklepał po karku i obmacał uważnie pęciny. Potem wyciągnął spod turbanu pieniądze, które schował tam z ostrożności i dla bezpieczeństwa, i zapłacił kupcowi. Wyprowadził klacz z zagrody i, przywiązawszy ją z tyłu do wozu, pożegnał się ze znajomymi. Teraz mogli już, ojciec razem z synem, ruszyć w drogę powrotną do wioski.

Syn siedział na wozie jakiś czas zakłopotany, wreszcie nie wytrzymał i zapytał:

— Nie rozumiem, dlaczego koń był za drogi, gdy kosztował trzysta rupii, teraz natomiast kupiłeś go bez targu za czterysta i w dodatku uważasz, że zrobiłeś dobry interes?

Banta roześmiał się i odparł:

— Kiedy ktoś nie ma pieniędzy, każda cena jest mu za wysoka. Ale, gdy je posiada, nic nie jest dla niego za drogie.

Har Dev Singh

Przełożył z angielskiego
Andrzej Turczyński
Rys. Teresa Jaskierny

-NIE MA TO JAK CIEPLUTKIE MIESZKANKO NA ZIMĘ!

-NIECH PANI PRZYJDZIE DO MNIE NA TELEWIZJĘ! BĘDZIE "LOLEK I BOLEK"!

-NIE STUKAJ TAK, NIE WIDZISZ, ŻE NIEDŹWIEDŹ CHCE SPAĆ!

-NO, IDĘ SPAĆ, NASTAWIŁEM BUDZIK NA 21 MARCA...

ROZKŁAD LOTÓW

ODLOTY:
WILGI
RUDZIKI
KUKUŁKI
DUDKI
PI[illegible]E
PL[illegible]KI

PRZYLOTY:
GILE
JEMIOŁUSZKI
CZECZOTKI
GAWRONY
MY[illegible]ZUI

-CZY MNIE KTOŚ JESZCZE ZNAJDZIE W TYM ROKU?..

-JA NA ZIMĘ ZAPASY CHOMIKUJĘ - A PANI ZAPEWNE WIEWIÓRKUJE!

GWIDON MIKLASZEWSKI

KRAKOWSKI DOROŻKARZ

Tyle liści,
suchych liści
pod stopami
nam szeleści.
Cały Kraków
stał się rudy.
Ładną jesień
mamy w mieście.

Kasztan rudy
i wiewiórka,
i dorożkarz
też rudawy.
Rudy jego koń
i córka,
co wyjeżdża
do Warszawy.

Właśnie wiezie ją
na dworzec
i wesoło
strzela batem.
W bardzo dobrym
jest humorze.
— Córko, przywieź
coś dla taty.

Kup mi tam
kapelusz nowy.
Dorożkarski
kup melonik.
Elegancki!
By za swego pana
nie wstydził się konik.
Koń się śmieje,
pan się śmieje
i podkręca
dumnie wąsa.
Tą dorożką
wiozłem niegdyś
Konstantego Ildefonsa!

On to lubił
taką jesień
a jak pięknie
pisał o niej.
Po imieniu
znał
(— tu klnę się),
wszystkie
dorożkarskie konie.

Trzęsie się
płócienna buda,
toczy się dorożka stara,
a w dorożce
córka ruda,
a na koźle
Pan Kaczara!

Tadeusz Śliwiak

ULEWA

(fragment)

Spadła ulewa
na wszystkie drzewa,
huczy i śpiewa
w wiatru powiewach.

Malutkie lisy
wybiegły z nory.
Trzęsą się wróble
i muchomory.

— Oj, co to będzie!
— Oj, ciemno wszędzie —
szepczą pobladłe
z lęku łabędzie.

Elżbieta Szemplińska-Sobolewska

Rys. Przemysław Woźniak

MUZYCZNE ŚWIĘTO

Wielkie spotkanie z muzyką Fryderyka Chopina, czyli XI Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny w Filharmonii Narodowej w Warszawie, w dniach od 1 do 20 października

Witold Małcużyński, zdobywca III nagrody w Konkursie Chopinowskim w 1937 r.

Pierwszy Konkurs odbył się w 1927 roku. Pomysł zorganizowania międzynarodowego spotkania młodych pianistów i wyłonienia spośród nich najlepszych wykonawców muzyki naszego wielkiego kompozytora wysunął wybitny muzyk, prof. Jerzy Żurawlew. Od tamtej pory, co 5 lat, z przerwą spowodowaną wybuchem II wojny światowej, w Filharmonii Narodowej spotykają się młodzi (do 30 lat) pianiści z całego świata. Przyjeżdżają tylko najlepsi, wybrani w trudnych eliminacjach w swoich krajach, często laureaci innych konkursów pianistycznych. Sukces osiągnięty w Konkursie Chopinowskim jest wysoko ceniony w świecie muzycznym i otwiera artystom drogę do występów na estradach całego świata.

Pianiści uczestniczą w trzech etapach grając określone regulaminem utwory Chopina. W finale, do którego dochodzi niewielu, wykonują z towarzyszeniem orkiestry jeden z koncertów fortepianowych naszego kompozytora.

Występy młodych pianistów ocenia międzynarodowe jury składające się z najwybitniejszych znawców muzyki chopinowskiej (są wśród nich także laureaci poprzednich konkursów). W tym roku dwudziestodwuosobowemu jury przewodniczy prof. Jan Ekiert.

Kristian Zimerman, zdobywca I miejsca i Złotego Medalu w Konkursie Chopinowskim w 1975 r.

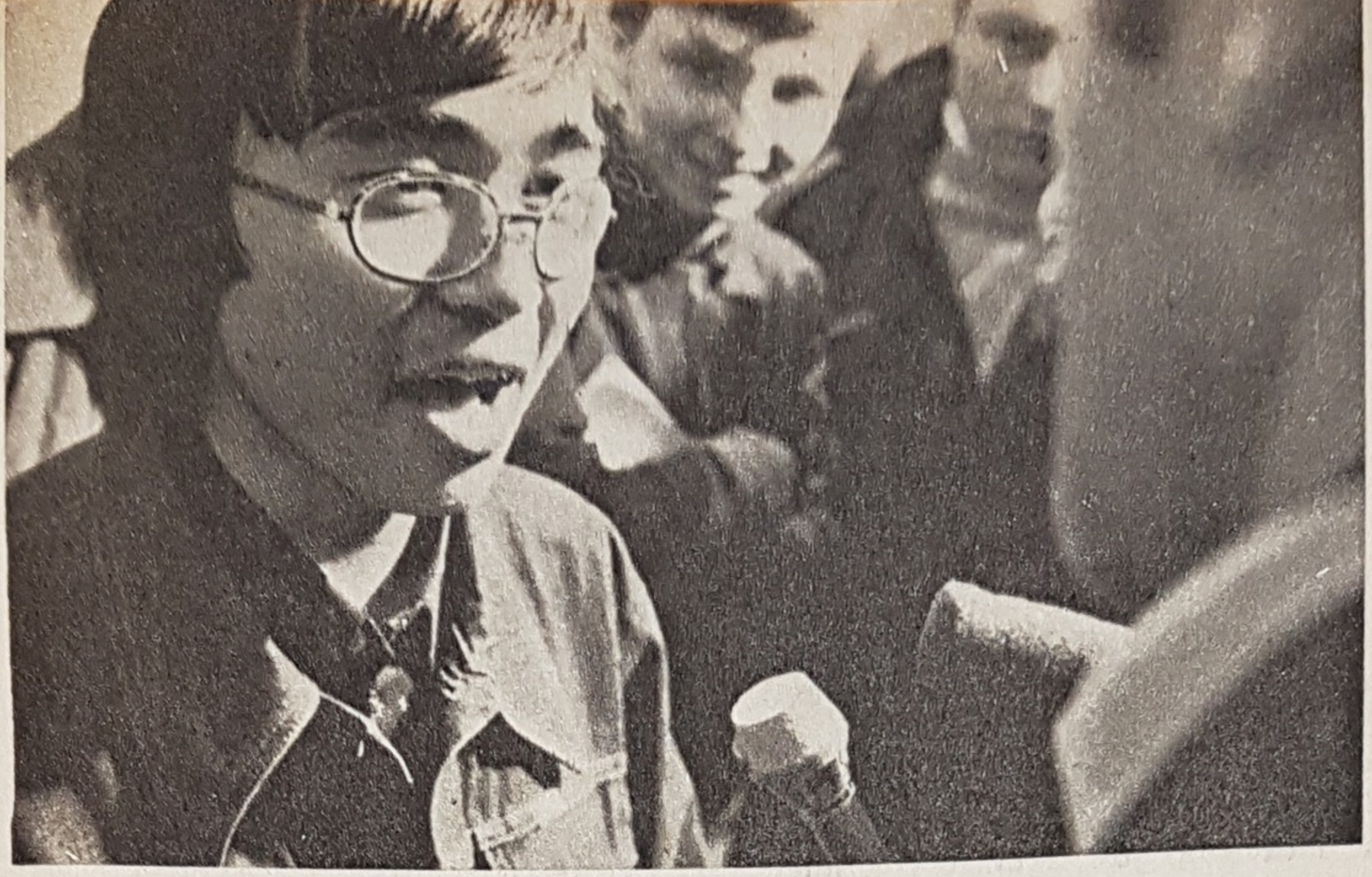

Thai Son Dang, zdobywca I miejsca i Złotego Medalu w Konkursie Chopinowskim w 1980 r.

Fot. CAF

Monika Rosca — młoda pianistka z polskiej ekipy na XI Międzynarodowym Konkursie Chopinowskim

W XI Międzynarodowym Konkursie Pianistycznym uczestniczy 142 pianistów z 35 krajów, w tym 13 Polaków.

W ekipie polskiej jest Wasza dobra znajoma — Monika Rosca, pamiętna Nel z filmu „W pustyni i w puszczy". Od czasu, kiedy występowała w filmie, minęło kilkanaście lat. Przez ten czas Monika ukończyła średnią szkołę muzyczną i obecnie jest studentką V roku Akademii Muzycznej w Łodzi.

Monice i pozostałym członkom ekipy polskiej życzymy sukcesów, a wszystkim pozostałym pianistom — aby ten konkurs okazał się udanym wstępem do ich dalszej kariery muzycznej.

Teresa Wilk-Białożej

Zdobywcy pierwszych nagród w Konkursach Chopinowskich:

1927 r. — Lew Oborin, ZSRR
1932 r. — Alexander Uninski, Francja
1937 r. — Jakow Zak, ZSRR
1949 r. — Halina Czerny-Stefańska, Polska
oraz Bella Dawidowicz, ZSRR
1955 r. — Adam Harasiewicz, Polska
1960 r. — Maurizio Pollini, Włochy
1965 r. — Martha Argerich, Argentyna
1970 r. — Garrick Ohlsson, USA
1975 r. — Kristian Zimerman, Polska
1980 r. — Thai Son Dang, Wietnam

Pisz waść 22 lutego...

Czasami drobne zdarzenia wywołują całe morza atramentu.

Kiedy wikary parafii Brochów pod Sochaczewem powrócił w drugi dzień Wielkanocy do swego kościoła z chrzcin, które się odbyły w Żelazowej Woli, i począł spisywać metrykę dopiero co ochrzczonego dziecięcia — nie wiedział, jakie skutki mieć będzie jego roztargnienie.

— A kiedy to dziecię na świat przyszło? — spytał organistę.

Organista miał już w czubie. Ojciec nowo narodzonego dziecięcia, jako Francuz prawdziwy, znał się na winie.

— A czy ja wiem? — odpowiedział. — Mówili, że ma dwa miesiące.

— Właśnie — namyślał się ksiądz — dwa miesiące? To znaczy, urodził się 23 lutego. Pisz waść 23 lutego...

— No, może nie tak okrągło miał dzieciak dwa miesiące?

— No to pisz waść 22 lutego.

— Słusznie — powiedział organista — i zaczął pisać, mówiąc głośno, co pisze:

„Ja, jak wyżej (Józef Morawski, wikary brochowski), spełniłem obrzędy nad niemowlęciem (...) urodzonym (...) z Wielmożnego Mikołaja (...)"

— Jak to się pisze to nazwisko? — spytał księdza.

— A Bóg raczy wiedzieć. Jakieś to nieszlacheckie nazwanie. Pisz waść jak chcesz.

— Syna imć pana Choppen...

Tak sobie łatwo wyobrazić scenę w zakrystii wieżastego, starego obronnego kościoła brochowskiego i można przypuszczać, że taki ona miała przebieg. A co potem się nasprzeczano o tę datę, ile nagadano i napisano. A skądże ksiądz mógł wiedzieć, że ochrzcił właśnie największego, najsławniejszego polskiego muzyka i że dzień jego urodzin stanie się na długie lata dla wszystkich Polaków bardzo ważną datą (...)

Przede wszystkim nie ma to absolutnie żadnego znaczenia, czy Chopin się urodził 22 lutego, czy 1 marca. Natomiast rok jego urodzin przypada na bardzo znamienną epokę. Jest to chwila największego rozkwitu gwiazdy napoleońskiej, poprzedzająca epokę rozczarowań. W latach tych rodziło się wielkie pokolenie romantyków, drugie pokolenie romantyków, tych co zawiedli się w swoich dążeniach, przeżywając rok 1830 i 1848. Wtedy rodzili się Schumann, Liszt, Wagner, Słowacki, Krasiński. Niespotykana plejada geniuszów. Epoka ta w bardzo silnym stopniu oddziałała na kształtowanie się osobowości Chopina, tworzyła jego charakter — obdarzyła go też tym dźwiękiem jedynym, dźwiękiem mocy i smutku, po którym tak łatwo poznać każde jego dzieło.

Dzieciństwo i młodość Chopina zwykło się wiązać z Żelazową Wolą i z jej mazowieckim pejzażem. Ze spokojnym nurtem Utraty, która przepływa tędy, z wierzbami przy drodze do Sochaczewa, z równiną, na której wznoszą się okrągłe wieże brochowskiego kościoła. Zapomina się o tym, że Chopin, zaledwie półroczny, przeniesiony został, a raczej przewieziony do Warszawy, i odtąd los jego aż do dwudziestego pierwszego roku życia związany jest ze stolicą Polski. Jeżeli chodzi o jego wiejskie powiązania z ziemią ojczystą, to widzimy, że więcej ich wybiega w stronę Kujaw, a nawet Pomorza. Kujawy odgrywają specjalną rolę w życiu naszego muzyka. Stąd pochodziła jego matka, z jej ust na pewno słyszał pierwsze kujawiaki, owe najbardziej polskie melodie, pełne słodkiej mocy we-

wnętrznej i wewnętrznego smutku, opiewające dolę chłopa z ubogich, bezleśnych, równinnych okolic ojczyzny naszej. Na Kujawy wyjeżdżał na wakacje, owe pamiętne wakacje, z których przywoził zapas zdrowia i dobrego humoru, a zapewne i zapas piosenek. Zresztą znał i Mazowsze, i Łowickie, i Lubelskie. Bywał u Marylskich w Pęcicach, w tym samym zapewne dworze, który dziś widać z grodziskiej kolei elektrycznej między Regułami a Tworkami, we dworze stojącym w zarośli starych drzew jak w bukiecie. Bywał u pani Pruszakowej we wspaniale zagospodarowanych Sannikach, za Sochaczewem, za Bzurą, bywał u Tytusa Woyciechowskiego w Poturzynie, gdzie go oczarowała brzoza stojąca pod oknami. Znał całą Polskę.

Ale przede wszystkim — od przeniesienia się jego rodziców z Żelazowej Woli aż do ostatniej chwili swego pobytu w ojczyźnie — był mieszkańcem Warszawy. I jeżeli nazywa siebie „ślepym mazurem" — to myśli o Warszawie jako o stolicy Mazowsza. Posunąłbym swoje twierdzenie jeszcze dalej: Chopin do końca życia pozostał nie tylko Polakiem, ale właśnie warszawiakiem, jak to w nekrologu stwierdza Norwid.

Jarosław Iwaszkiewicz
(Fragment z książki pt. „Chopin")

Rys. Barbara Mudryk-Gołdon

PRELUDIUM DESZCZOWE

Najpierw były
plakaty na mieście,
sto pięćdziesiąt,
może i dwieście,
na plakatach
litery metrowe:
„Wielki koncert —
Preludium Deszczowe".
Ludzie stali,
plakaty czytali,
nie pytali,
gdzie będzie ten koncert,
tylko biegli
pod pomnik Chopina,
do Łazienek,
gdzie wierzby płaczące.
Pół Warszawy pobiegło do parku,
więc ja także ruszyłam tą trasą,
a że każdy parasol miał w ręku,
więc ja także przyniosłam parasol.

...Tak się właśnie to wszystko zaczęło —
był pan Chopin na swoim cokole,
a dokoła tłum ludzi ogromny
i wetknięte w ten tłum parasole.

Fortepianu właściwie nie było.
Jeden pan nawet o to się czepiał,
ale dziecko, bo z dzieckiem przyszedł,
powiedziało, że widzi fortepian.
— Widzisz?
— Widzę, klawisze grają.
— Słyszysz?
— Słyszę, deszcz w liściach dzwoni.
Pod wierzbami w Łazienkach Chopin
krople deszczu kołysze w dłoni.

Parasole zakryły niebo,
rozkwitają w jesiennym zmierzchu.
— Słyszysz?
— Słyszę Preludium Deszczowe.
— Widzisz?
— Widzę początek deszczu...

Wanda Chotomska

Rys. Wanda Orlińska

CHCEMY POKOJU

Przed paru miesiącami, w szóstym, marcowym numerze „Płomyczka" ogłosiliśmy konkurs rysunkowy „Chcemy Pokoju".

Napłynęło 438 prac bardzo kolorowych, bardzo gorąco broniących tej najważniejszej sprawy na świecie — pokoju.

Jury Konkursu w składzie: Zbigniew Rychlicki (przewodniczący), Krystyna Michałowska i Zdzisław Byczek (członkowie), zwróciło uwagę na wiele rysunków. Część z nich wysłaliśmy do Sofii na wystawę w Polskim Ośrodku Kultury i Informacji, a 11 prac jury nagrodziło i wyróżniło.

Nagrodzone i wyróżnione rysunki — zgodnie z obietnicą — zamieszczamy w „Płomyczku". Przykro nam, że niektóre z nich musimy wydrukować na czarno-białych stronicach.

Przyjęliśmy — jak pamiętacie — jeszcze jedno zobowiązanie, że poślemy fotografie nagrodzonych i wyróżnionych rysunków wszędzie tam, gdzie ludzie zbierać się będą w obronie pokoju. Dlatego właśnie, zanim uda nam się wydrukować bardziej okazały folder, publikujemy te rysunki na środkowych stronicach naszego czasopisma, aby łatwiej można było je wyjąć z „Płomyczka" i posłać w świat.

A kiedy już wydawało się, że możemy spokojnie zamknąć Konkurs, wówczas Nasza Wielka Przyjaciółka, znakomita pisarka pani Hanna Ożogowska poradziła nam:

— A może zwrócicie się jeszcze raz do swoich Czytelników z pytaniem, które z tych rysunków podobają się im najbardziej, niech napiszą i uzasadnią dlaczego?

Przeto zwracamy się do Was, Kochani Czytelnicy, z tym pytaniem i z prośbą nie tylko o wypowiedź, ale również i o nowe rysunki na ten bardzo ważny, stale aktualny temat.

To jest nasz nowy, drugi już Konkurs na temat „Chcemy Pokoju", Konkurs pod nazwą: UZASADNIJ LUB NARYSUJ. Prace prosimy nadsyłać do

1

IZABELA CHALCIŃSKA z Ostrowa Wlkp. — wyróżnienie

2.

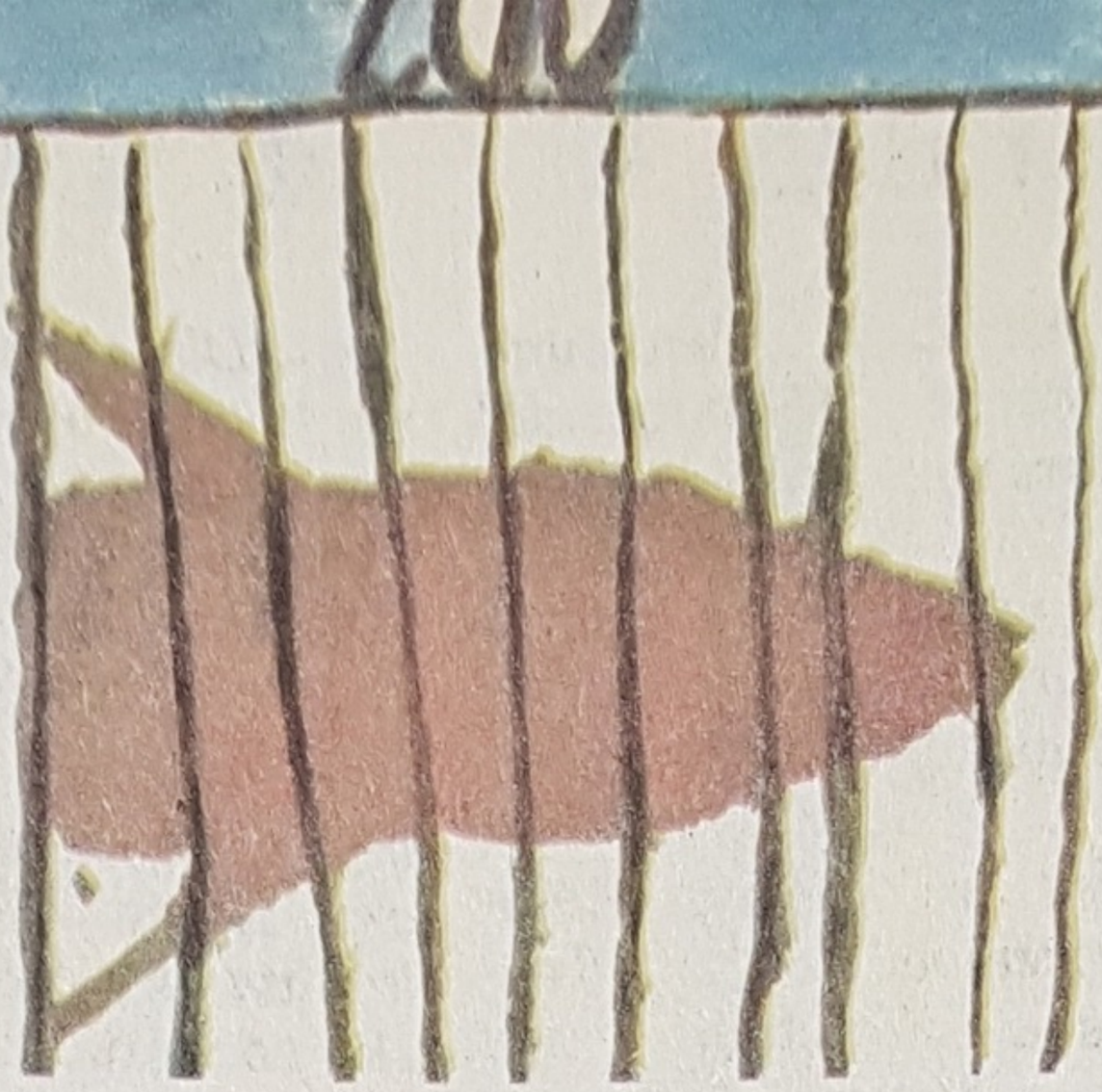

3.

5

7.

30 grudnia br. pod adresem: „Płomyczek", skr. poczt. 380, 00-950 Warszawa.

— Jakie nagrody?

Takie same jak poprzednio: opublikowanie najciekawszych wypowiedzi i rysunków, i posłanie ich w świat — niech otwierają myśli i sumienia ludziom.

Znów zbierze się jury i oceni Wasze wypowiedzi o pracach nagrodzonych w Konkursie „Chcemy Pokoju", policzy głosy i wybierze najpiękniejsze nowe rysunki.

W ten sposób Konkurs nasz stanie się nieustającym i słusznie, bo nieustannie wszyscy musimy dbać o spokojne życie na ziemi.

„Płomyczek"

4.

8

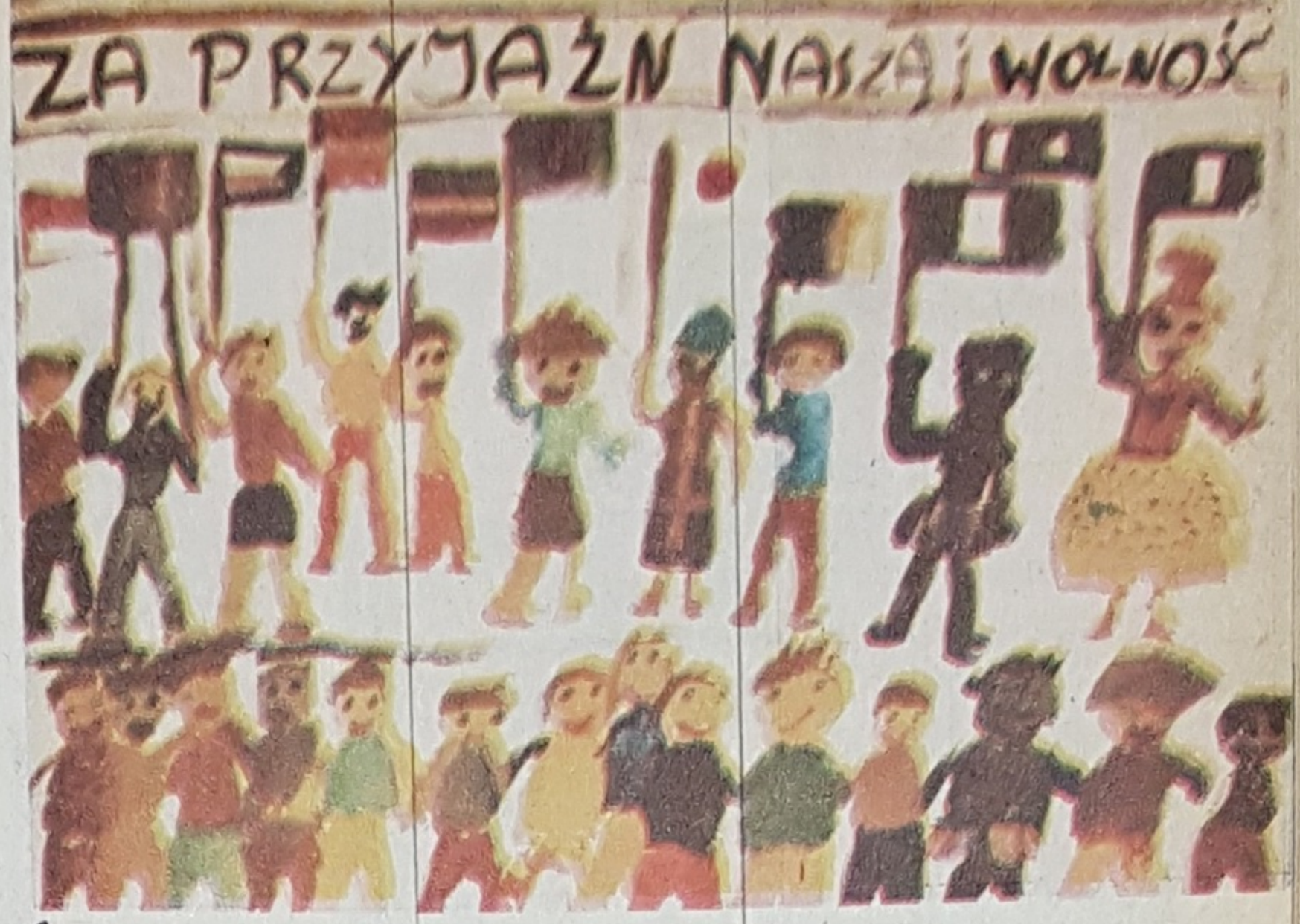

6.

9.

2. *MAGDALENA MROWIEC z Jeleśni — I nagroda*
3. *IWONA MACHNOWSKA z Warszawy — II nagroda*
4. *ANNA CHAMIOŁO z Tarnowa — III nagroda*
5. *AGNIESZKA BAZYLUK z Dzicciakowa — wyróżnienie*
6. *MARIUSZ RZEPECKI z Radzymina — wyróżnienie*
7. *AGNIESZKA MILCZAREK — wyróżnienie*
8. *MAGDA SOWIŃSKA, ANETA KUŚMIERSKA, EWA MACHNOWSKA z Warszawy — wyróżnienie*
9. *MARIOLA KARCZEWSKA z Jabłonny Lackiej — wyróżnienie*

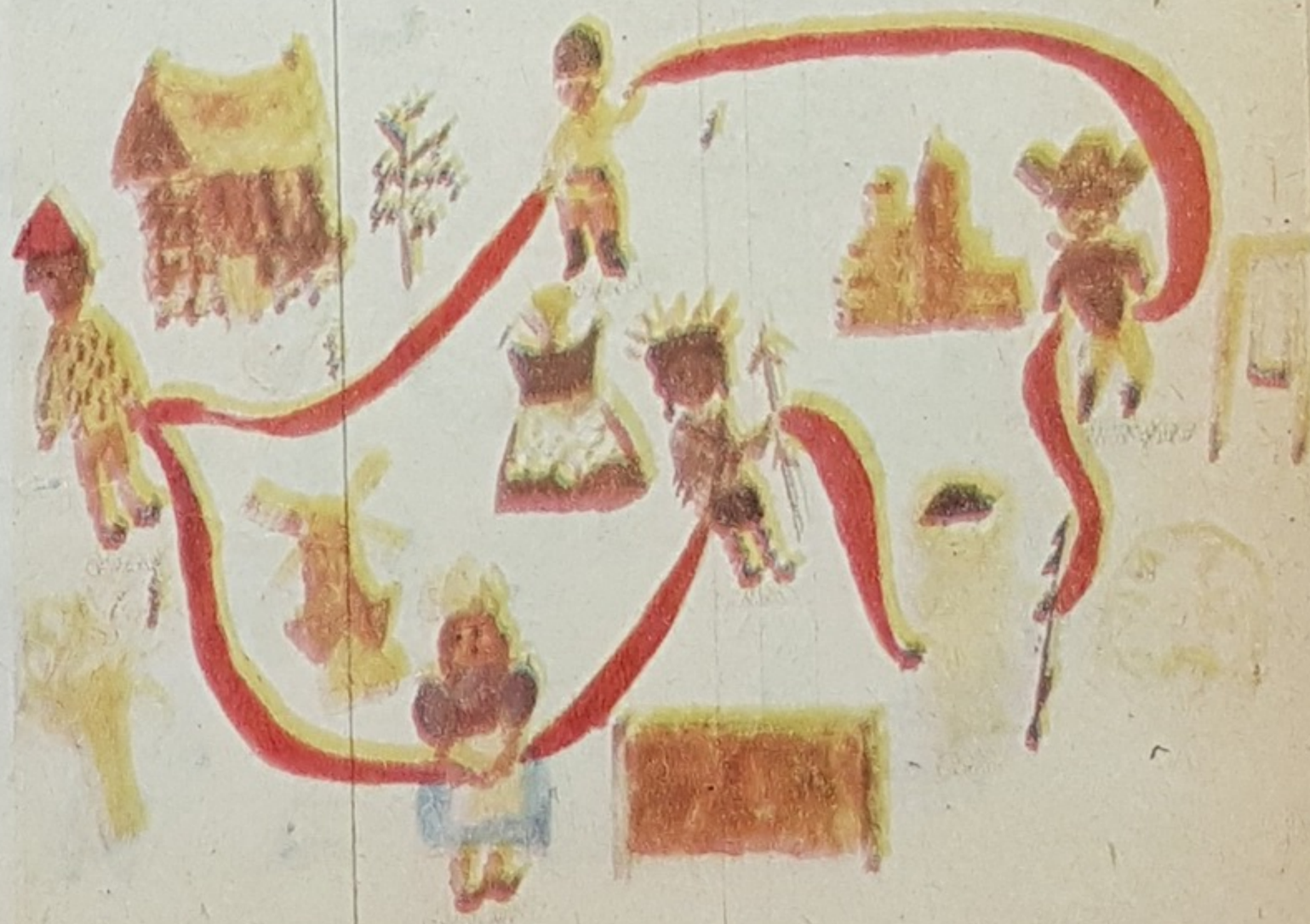

my nie chcemy
rzeczy zbyt wielkich
tylko tyle:
— aby każdy się cieszył

my tylko tyle chcemy:
— aby nie było
nieszczęść na ziemi

i — aby
każde dziecko
zawsze
miało Ojca i Matkę

Tadeusz Chudy

10. EDYTA FIGLARZ z Radzymina — wyróżnienie
11. BEATA KRÓL z Radzymina — wyróżnienie

11.

NASI AUTORZY

ADAM BAHDAJ

Adam Bahdaj — prozaik, tłumacz, autor licznych książk — obdarzany sympatią, szacunkiem i zaufaniem przez coraz to nowych czytelników. Trzydzieści lat pisał dla dzieci i młodzieży. Począwszy od kwietnia tego roku w każdym numerze „Płomyczka" znajdujecie kolejny odcinek Jego powieści — „Tańczący słoń". I On, i my bardzo cieszyliśmy się, że przeczytacie tę powieść wcześniej, niż ukaże się w wydaniu książkowym, nakładem Krajowej Agencji Wydawniczej.

Nie doczekał się. Zmarł 7.V.1985 r. Napisał i wydał w swoim życiu 53 książki. Wiele z nich przetłumaczonych zostało na języki obce (m. in. francuski, niemiecki, hiszpański, rosyjski, gruziński, azerbejdżański, wietnamski). Najpopularniejsze Jego powieści „powędrowały" na telewizyjne ekrany („Do przerwy 0 : 1", „Podróż za jeden uśmiech", „Stawiam na Tolka Banana", „Wakacje z duchami", „Trzecia granica"). W 1970 roku w plebiscycie czytelników „Płomyka" otrzymał „Orle Pióro". Został laureatem wielu ważnych nagród, a wśród nich, w 1974 r. — Nagrody Prezesa Rady Ministrów za całokształt twórczości dla dzieci i młodzieży, oraz Medal Komisji Edukacji Narodowej. Jego nazwisko zostało zamieszczone w informatorze biograficznym „Kto jest kim w Polsce 1984", publikacji zawierającej biografie Polaków współcześnie żyjących, cieszących się szacunkiem i autorytetem zarówno w kraju, jak i na świecie. Znalazł się On wśród czterech tysięcy wybitnych ludzi w Polsce, mających szczególne osiągnięcia w dziedzinie nauki, kultury, polityki czy w innym społecznym działaniu.

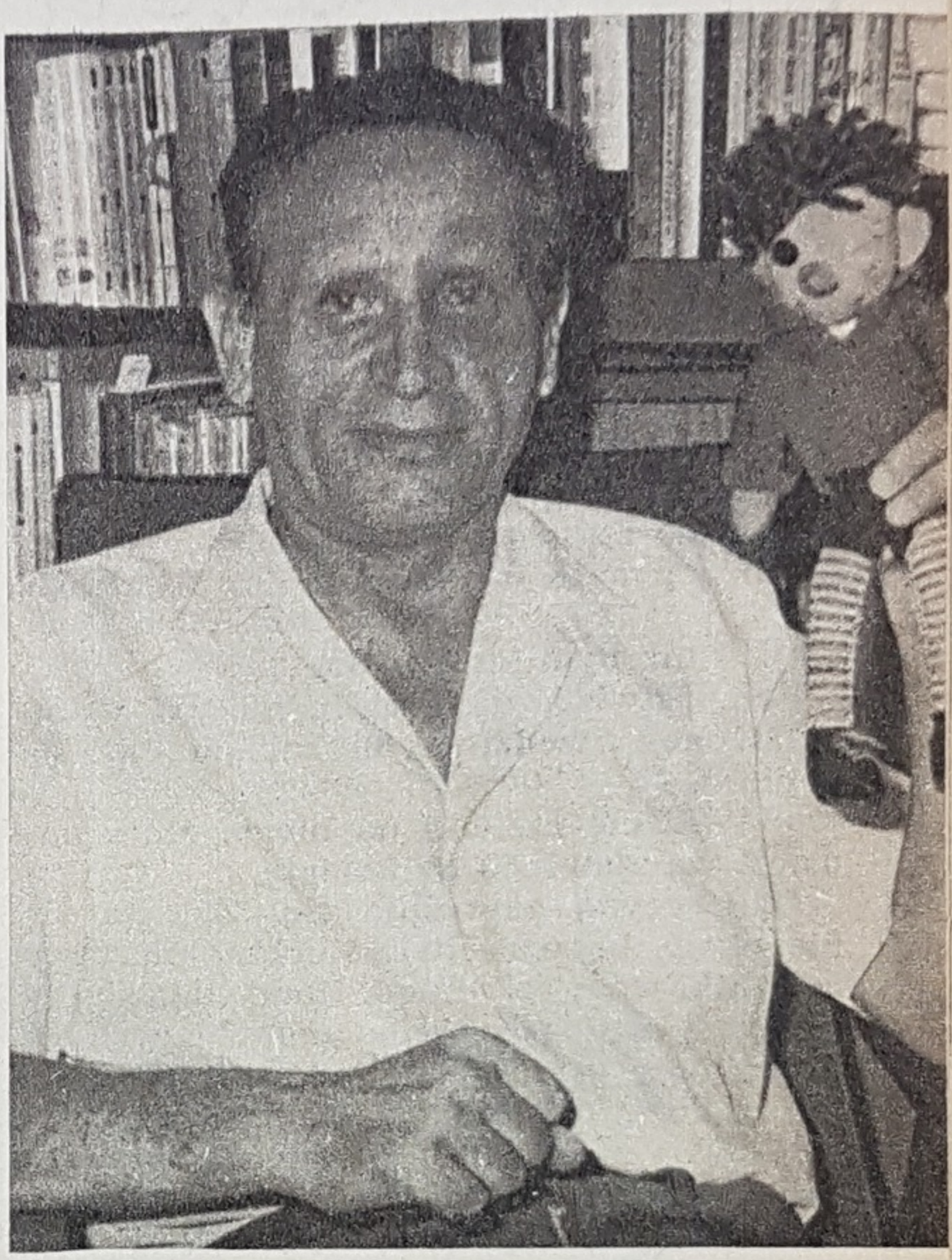

Fot. Tadeusz Bukowski

Adam Bahdaj pozostawił nam wiele mądrych, ciekawych, pogodnych i pełnych humoru powieści. Krytycy porównują Jego twórczość do twórczości Kornela Makuszyńskiego, autora „Awantury o Basię" i „Szaleństw panny Ewy". Jest w tym dużo racji. Bohaterom powieści Adama Bahdaja także towarzyszą niecodzienne przygody, które mimo wielu przeciwności losu kończą się pogodnie i szczęśliwie. I ten klimat życzliwości, ciepła, życiowego optymizmu Autora przekazywany jest w każdym Jego utworze.

Elżbieta Brzoza

Tańczący słoń

13

Kolacja w restauracji „Goplana" zaczynała się o siódmej. Przed siódmą pani inspektor, zaniepokojona nieobecnością swego podwładnego, wpadła pod siódemkę. Zastała pana Dziwisza ślęczącego nad jakimiś zadaniami matematycznymi. Zapytała głośno:

— Czy nie było jeszcze Bartka?

Pan Dziwisz zdjął szkła, położył je na upstrzonej przedziwnymi znakami kartce papieru.

— Właśnie czekam na niego. Mam nadzieję, że zjawi się na kolację.

Dziewczyna zamyśliła się. Zaczęła się niepokoić, bo właściwie sierżant pierwszy raz zniknął na tak długo. Domyślała się, że zapewne rozwiązuje jeden z gnębiących ich problemów kryminalnych. Ale który?

Z zadumy wyrwał ją pan Dziwisz.

— Co ci się stało? — zapytał, przecierając zmęczone oczy.

— A... nic, naprawdę nic... Gdyby Bartek się zjawił, to proszę mu powiedzieć, że będę w okolicy „Goplany".

Pan Dziwisz spojrzał na nią niemal troskliwie.

— Czy wy nie szykujecie jakiejś sensacji?

— Ależ nie... Skądże... Po prostu mam do niego ważną sprawę — wyrecytowała jednym tchem, a gdy znalazła się za drzwiami, pomyślała: „Ten wujaszek Ufo domyśla się czegoś. Może on też..." — przestraszyła się własnej myśli.

Na schodach natknęła się na Żałosną Mortadelę.

Tym razem pani Irma była w czarnej sukni. Na widok Zulejki zawahała się. Stanąwszy między szóstym a siódmym stopniem przybrała pozycję wyczekującą.

Pani inspektor uśmiechnęła się wymownie i rzuciła z nonszalancją:

— To jednak pani pofatygowała się zamiast... — chciała powiedzieć: „zamiast tego picusia-micusia", lecz zabrakło jej odwagi.

Tamta udała, że nie zrozumiała przytyku. Skinęła tylko głową, minąwszy ją, ruszyła w górę schodów.

Zulejka poczekała, aż Mortadela wejdzie do pani Żednickiej, a wtedy szybko wbiegła na piętro i dopadła do drzwi znajdujących się na końcu korytarza.

Drogę na dach poznała podczas zabawy w chowanego. Drzwi prowadziły na strych, a ze strychu po drabince wchodziło się do oszklonego, prowadzącego na dach włazu. Należało tylko podnieść klapę. Dla wysportowanej dziewczyny nie przedstawiało to większej trudności. W mig znalazła się na drewnianej kładce łączącej wszystkie kominy. Trudności zaczęły się dopiero wtedy, gdy spróbowała opuścić się do rynny, skąd można było przesunąć się do okna i usłyszeć toczącą się w pokoju rozmowę.

Dach spadał stromo, a odległość między kładką a rynną wynosiła więcej niż długość ciała dorosłej osoby. Zulejka kilka razy próbowała opuścić się na rękach, lecz nigdy nie udało jej się dosięgnąć nogami rynny. Mogła wprawdzie ześliznąć się na brzuchu, lecz obawiała się, że rynna nie wytrzyma jej ciężaru. Po chwili namysłu wpadła na iście szatański pomysł. Szybko zrzuciła z siebie dżinsy, jedną nogawkę przywiązała do kładki i trzymając się spodni z kocią zręcznością opuściła się aż do rynny, lecz gdy mocno oparła się o nią nogami, przerdzewiała rynna złamała się z hukiem, a pani inspektor zawisła na własnych dżinsach.

Huk łamiącej się rynny był tak głośny, że po chwili w oknie pojawiła się pani Żednicka:

— Chryste Panie! — zawołała przerażona. — Co ty tu robisz, dziewczyno?

Pani inspektor nawet w tym tragicznym położeniu nie straciła zimnej krwi i konceptu.

— Nie widzi pani, że szukam gniazda szpaka? — wydusiła z zaciśniętego strachem gardła. Wyczuła, że dżinsy chociaż oryginalne „Lee", trzeszczą w szwach. Fikając nogami w powietrzu, szukała dla nich jakiegoś oparcia. Niestety, nie natrafiła na żaden występ.

Pani Żednicka tak się wystraszyła, że zamiast ratować dziewczynę, załamywała nad nią ręce. Żałosna Mortadela była bardziej opanowana. Zdarła z tapczanu koc i, przerzuciwszy go przez okno, zawołała:

— Trzymaj mocno, ja cię podciągnę.

Zula kurczowo chwyciła róg koca. Przy pomocy pani Irmy zdołała wywindować się na parapet, a gdy stanęła na podłodze, przypomniała sobie, że jest bez dżinsów.

Pani Żednicka załamała ręce.

— Na litość boską, Zulu, co ty wyprawiasz?

— Ja... — zerknęła w stronę Mortadeli — mówiłam już pani, że podglądałam, jak szpak karmił pisklęta.

— Nie kłamałabyś przynajmniej. Czy zdajesz sobie sprawę, co by było, gdybyś spadła? — powiedziała ostro pani Żednicka.

— To niewysoko, pro... pani, pierwsze piętro. Już nieraz skakałam z większej wysokości.

— Powiedz mi, ale tak szczerze — wtrąciła się pani Irma, głosem pełnym przygany — dlaczego stale mnie nękasz?

— Ja? — Zula zrobiła niewinną minę, a przymrużywszy oko, dorzuciła chytrze: — Pani sama doskonale wie, więc nie rozumiem, dlaczego mnie pani pyta.

Pani Żednicka, chcąc zażegnać przykrą sytuację, wskazała głową przewieszone przez parapet dżinsy.

— Wypadałoby nareszcie włożyć te portki.

Dziewczyna rozejrzała się.

— Ach... — westchnęła. — Zdaje mi się, że jesteśmy tu same. — Przynaglona jednak pełnym nagany spojrzeniem babci usiadła na krześle i z trudem jęła wciągać obcisłe spodnie.

Mortadela korzystając z chwili zamieszania skinęła głową babci.

— Do widzenia, pani Doroto, mam nadzieję, że nie weźmie mi pani tego za złe. Po prostu Tolo mnie prosił... Mówił, że nie ma odwagi... — Nie dokończywszy, złapała za klamkę.

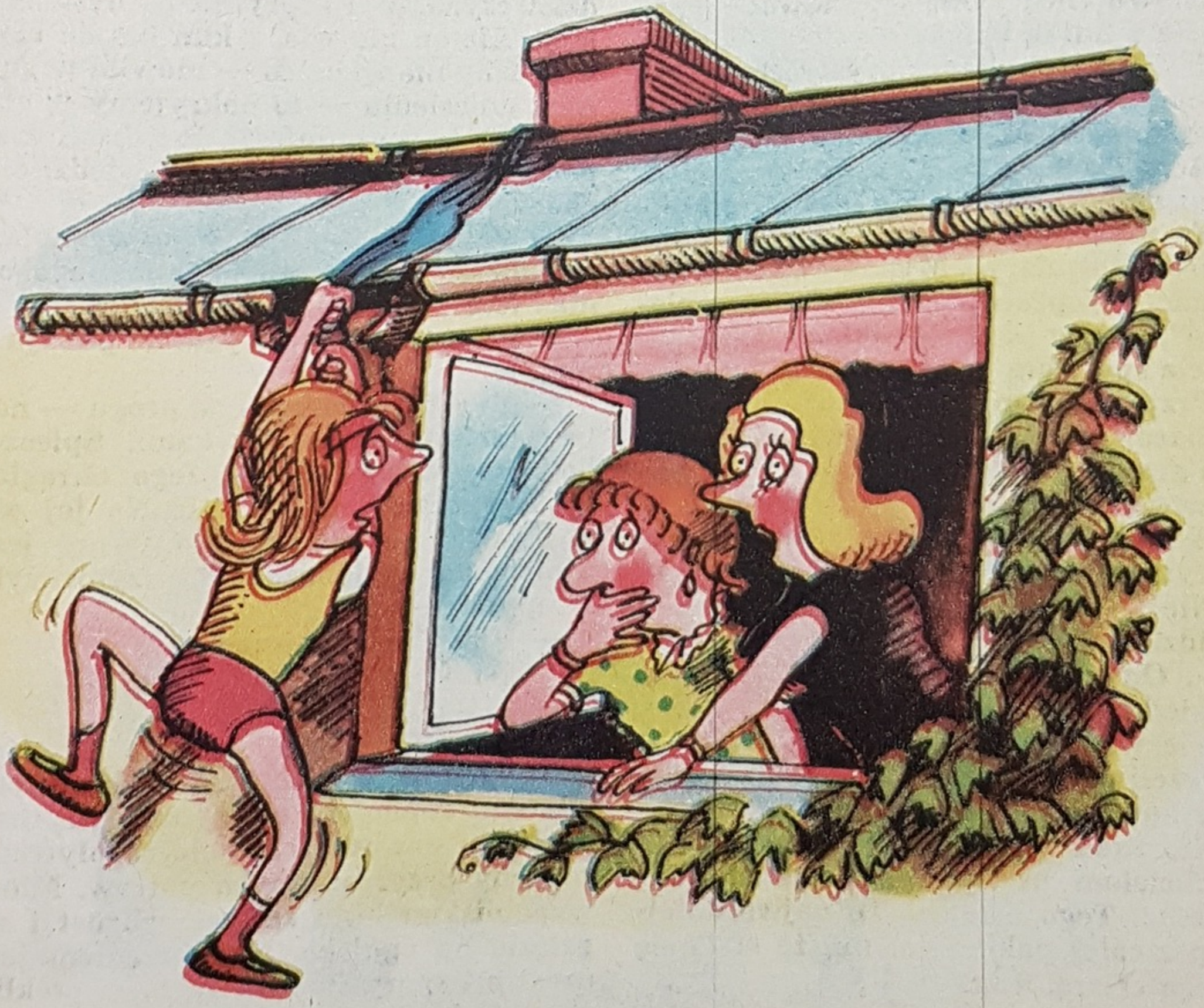

— Niech mu pani powie, żeby się panią nie wyręczał.

— Tak, oczywiście — rzuciła spiesznie i szybko opuściła pokój.

Zulejka miała już jedną nogę w nogawce.

— Znowu chcą panią wyrolować — powiedziała z nutką kpiny.

Pani Żednicka charakterystycznym gestem podniosła dłonie do skroni i przymknąwszy powieki, wyszeptała:

— Ach! Co ja z wami mam. Doskonale was rozumiem, chcecie się bawić, ale...

— To wcale nie zabawa, proszę pani!... — zaprotestowała. — My... — Chciała powiedzieć: „rozpracowujemy siatkę szpiegowską", lecz w porę zamilkła.

Babcia spojrzała wyrozumiale.

— Przypuszczam, że traktujecie tę zabawę bardzo poważnie, lecz wierz mi, jest pewna granica, której...

Dziewczyna wpadła jej w słowo:

— A może ta pani nie przyszła w sprawie brylantu?

— Nie — zaprzeczyła stanowczo. — A jeżeli idzie o brylant, to muszę cię rozczarować... On nie jest prawdziwy. To zwykłe szkiełko.

— Nie wierzę.

— Jeżeli mi nie wierzysz, to zapytaj pana Bartkowskiego...

— Nie znam pana Bartkowskiego.

— Chciałam powiedzieć pana Barta.

— Ach... Tego z fajką. To najwredniejszy typ z całej paki. I żal mi, że stała się pani jego ofiarą, a my...

Pani Żednicka roześmiała się.

— Przepraszam cię, ale to już zakrawa na żarty. Pan Bart jest wielkim przyjacielem młodzieży.

— To czysty kamuflaż — zawołała dziewczyna. — To sprytnie pomyślany wybieg. Ale on nie wie, z kim ma do czynienia. Żeby nie wiem co — mówiła w gniewnym uniesieniu — to nakryjemy tę siatkę.

— Co ty wygadujesz? Już drugi raz napomykasz o jakiejś siatce. Powiedz, o co ci chodzi?

— Panią to szanujemy — wyznała, już spokojnie — ale tego podejrzanego osobnika to...

W tej samej chwili wpadł do pokoju Muminek.

— Babciu — zawołał od progu — na kolację są knedle ze śliwkami. Śpiesz się, bo może zabraknąć. — Jego okrąglutkie oczka spoczęły na Zulejce. Na jej widok na chwilę go zamurowało. Wnet jednak uśmiechnął się łobuzersko, przymrużył oko i zapytał:

— Za ile sprzedajesz te dżinsy?

*

Na kempingu wieczorny ruch. Przed namiotami zapłonęły maszynki spirytusowe, kuchenki gazowe, a dokoła rozpływały się zapachy przyrządzanych potraw. Młodzież w pobliskim lesie zbierała chrust i suche gałęzie na ognisko. Nad brzegiem jeziora urósł już spory stos suszu. Będą piekli zie-

mniaki i smażyli kiełbasę na patyku, a potem zaśpiewają razem w zwartym kręgu, urzeczeni niepowtarzalnym nastrojem obozowego ogniska.

Zulejka z daleka ujrzała ojca pochylonego nad gazową kuchenką. Mieszał warząchwią węgierski paprykarz. Od kuchenki ciągnęła smuga wspaniałego zapachu. Zulejka zatrzymała się przed ojcem.

— Tato, czy nie było tu Bartka?

— Nie. — Ogarniając córkę krytycznym spojrzeniem, zapytał:

— A co ty robiłaś tak długo?

— To nieważne, tato. Szukam Bartka, bo nie ma go już od obiadu.

— Rozumiem, ale dlaczego jesteś taka zdenerwowana?

— Bo jestem...

— I czemu tak niegrzecznie odpowiadasz?

— Przepraszam, ale to naprawdę poważna sprawa.

— Byłaś w „Goplanie"?

— Och, ile razy. Jego ojciec też się niepokoi.

— Przecież Bartek to spokojny i zrównoważony chłopak. Nie sądzę, żeby mu coś groziło. Pewno zabawił u któregoś z kolegów. Ty też często spóźniasz się na posiłki.

Zulejka obróciwszy się na pięcie, pognała w stronę osady.

— Zaczekaj! — zawołał za nią, lecz już go nie usłyszała.

Zbliżając się do osady, już chyba dziesiąty raz powtarzała w myśli, gdzie mógł przebywać Bartek. Najbliżej kempingu znajdował się hotel „Jantar", więc skierowała się w jego stronę. Było już po kolacji. Goście przenieśli się na taras. W dyskretnym świetle lampionów wyglądali, jakby siedzieli w zatopionej grocie.

Zulejka zatrzymała się na schodach. Bystrym spojrzeniem zlustrowała hotelowych gości. Wnet przy jednym ze stolików, pod rozłożystą lipą, spostrzegła bladą twarz Żałosnej Mortadeli. Naprzeciw niej siedział znudzony Tolo, a obok promieniała, pełna zadowolenia, wąsata twarz Araba.

Nie namyślając się wiele, klucząc między stolikami, doszła do tego znakomitego towarzystwa. Na jej widok Mortadela uniosła zdumione oczy.

— Przepraszam — zagadnęła Zulejka — czy państwo nie widzieli mojego kolegi?

— Którego kolegi? — Głos Mortadeli zabrzmiał chropowato i obco.

— Tego, co dzisiaj rano był na plaży z Małgosią.

— Ach... tego. Niestety, nie widziałam.

— To bardzo przepraszam.

Chciała odejść, lecz kobieta zatrzymała ją ruchem ręki.

— Zaczekaj — wlepiła w nią wielkie, orzechowe oczy.

— Domyślam się, że bawicie się w prywatnych detektywów.

— To się pani grubo myli, bo nie w prywatnych.

— To nieważne, w jakich. W każdym razie chciałabym wam pomóc. Zdaje mi się, że najbardziej interesuje was brylant, który był schowany w tej porcelanowej figurce.

Zulejka przechyliła w bok głowę i uśmiechnęła się wyzywająco.

— Nie tylko, nie tylko... Są jeszcze ważniejsze sprawy.

Adam Bahdaj

(Ciąg dalszy nastąpi)

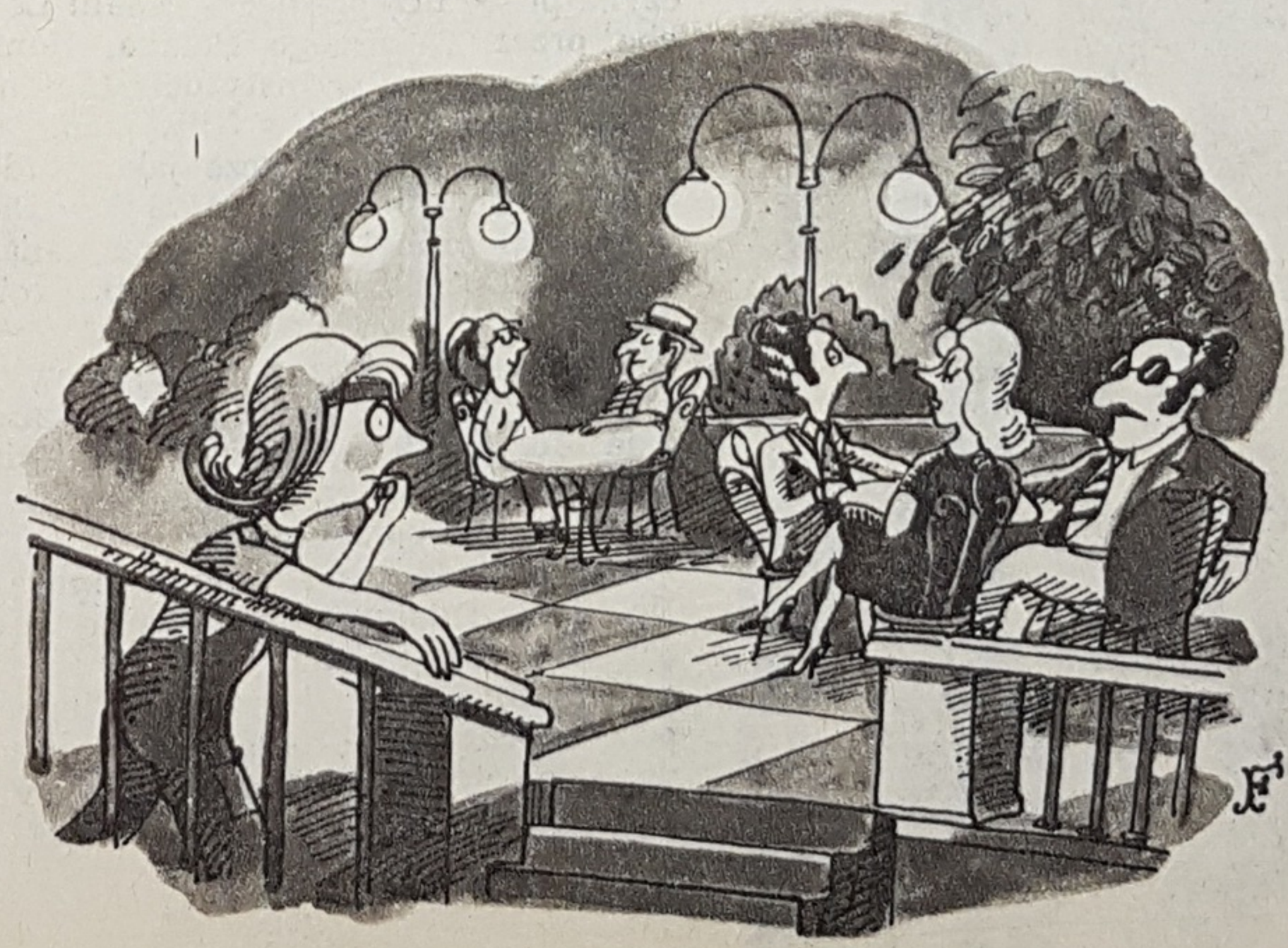

Rys. Jerzy Flisak

PRZEZ KANAŁ LA MANCHE

Kto naprawdę pierwszy przepłynął przez kanał La Manche, cieśninę pomiędzy wybrzeżem Zachodniej Europy a Wielką Brytanią, nie wiadomo. Jedna z legend krążących wśród angielskiej ludności podaje, że był to żołnierz napoleoński, wzięty do niewoli przez Anglików w 1815 roku. Podobno, kiedy łódź dobijała do angielskiego brzegu, zrozpaczony Francuz rzucił się w fale kanału. Czy jednak udało mu się dopłynąć do ojczyzny, nikt nie wie.

Przejdźmy jednak do faktów. Jako pierwszy przepłynął przez kanał La Manche z Dover do Calais w 1875 roku kapitan marynarki brytyjskiej Matthew Webb w 21 godzin 45 minut. Po tym wyczynie okrzyknięto w Anglii Webba bohaterem narodowym, wystawiono mu nawet w Dover pomnik. Mer tego miasta podczas uroczystości na cześć pływaka powiedział: „Wznoszę ten toast za człowieka, który dokonał rzeczy niemożliwej i bez większego ryzyka mogę stwierdzić, że wyczynu takiego nie dokona już nikt w historii".

Jednak już 36 lat później, w 1911 roku, inny Anglik, nauczyciel Thomas Burgers, jako drugi pokonał dystans z Dover do Calais w ciągu 22 godzin i 35 minut.

Przez kanał próbowały również przepływać kobiety. Jako pierwsza dokonała tego w 1926 roku Amerykanka Gertrude Ederle, słynna złota medalistka z Paryża, bezkonkurencyjna na dystansach od 100 do 880 jardów. Dziś w księgach Towarzystwa Przepływania Kanału * widnieje już około 200 nazwisk. Przeważają zdecydowanie mężczyźni. Kobiety, które przepłynęły kanał La Manche, można policzyć na palcach. Wśród nich jest również Polka, Teresa Zarzeczańska — odważna nauczycielka z Poznania, znakomita pływaczka i zwyciężczyni wielu maratonów na Bałtyku. Wielkim zaskoczeniem dla wszystkich było wówczas, że pani Teresa trzy lata po zakończeniu kariery, w 1975 roku stanęła na brzegu kanału La Manche i przepłynęła go w 11 godzin i 10 minut.

Czy jeszcze komuś z Polaków udało się tego dokonać?

Tak. Dokonał tej sztuki Romuald Szopa.

Próby pana Romualda

22 sierpnia 1977 roku, temperatura wody 15°C. Na plaży w Dover wysoki, barczysty mężczyzna w biało-czerwonych kąpielówkach. Przygotowane szalupy czekają na gwizdek angielskiego sędziego — Mike'a Morforda. Wszystko odbywa się zgodnie z regulaminem. Gwizdek sędziego rozpoczyna próbę przepłynięcia kanału La Manche przez 27-letniego Polaka, Romualda Szopę, asystenta w Instytucie Matematyki Politechniki Śląskiej w Gliwicach.

Romuald Szopa jeszcze jako student V roku na zebraniu Klubu AZS ** w 1976 roku zgłosił próbę przepłynięcia kanału La Manche. Dochodzi ona do skutku rok później.

Pogoda jest coraz bardziej niewyraźna, wiatr nasila się z godziny na godzinę. Sędzia Morford kategorycznie zabrania pływakowi (po jedenastu godzinach przebywania w wodzie) kontynuowania próby. Wiatr dochodzi bowiem do 8 stopni w skali Beauforta i dalsze pozostawanie w wodzie zagraża życiu Polaka.

Bezsilny wobec decyzji sędziego wdrapuje się Szopa do kutra w odległości zaledwie dwóch mil od francuskiego wybrzeża.

Po powrocie do Polski, nie zrażony niepowodzeniem, zwiększa liczbę treningów. Od tej chwili przygotowania ruszają pełną parą. Codziennie kilkugodzinny trening na basenie, biegi, sucha zaprawa.

12 sierpnia 1978 roku Romuald Szopa znowu staje na brzegu kanału La Manche, by po 12 godzinach i 49 minutach dopłynąć do przeciwległego brzegu.

Wynik osiągnięty przez Polaka zdecydowanie odbiega od aktualnego w tym czasie rekordu przepłynięcia kanału, ustanowionego przez Wendy Brooka i wynoszącego 8 godzin i 56 minut. Żeby jednak zrozumieć, na czym polega ogromna trudność przepłynięcia przez kanał, trzeba wiedzieć, że wynik uzyskiwany przez pływaka uzależniony jest od ciężkich i zmiennych warunków atmosferycznych panujących w tym rejonie. Temperatura wody nie przekracza tu prawie nigdy 15°C, a sztormy dochodzące do 8—9 stopni w skali Beauforta nie są rzadkością.

Chociaż dystans 32—34 km (tyle wynosi szerokość kanału pomiędzy Dover i Calais) to niewiele w porównaniu z innymi gigantycznymi maratonami pływackimi, takimi, jak np. przepłynięcie przez Argentyńczyka Alberto Albertondo 435 km na trasie z Rosario do Buenos Aires czy 470 przez Amerykanina Johna Sigmunda na rzece Missisipi — kanał La Manche ciągle znajduje się w centrum zainteresowania pływaków. Co roku przybywają tu z całego świata, by spróbować swoich sił i wpisać się do „Księgi Towarzystwa Przepływania Kanału", w której widnieją między innymi dwa polskie nazwiska: Teresy Zarzeczańskiej i Romualda Szopy.

Elżbieta Wrzecionkowska

* *Towarzystwo Przepływania Kanału, założone w 1927 roku — instytucja organizująca i nadzorująca zawody w przepływaniu kanału La Manche.*

** *Akademicki Związek Sportowy.*

Pająki

Nie lubimy pająków, chociaż są zwierzętami bardzo pożytecznymi. Ich głównym pożywieniem są owady, wśród których znajdują się również szkodniki. Zamiast bezmyślnie niszczyć ich pajęczynę na polu czy w lesie, zostawmy lepiej pająki w spokoju, choć wzbudzają one wstręt lub obawę.

Obyczaje pająków

Nie wszystkie pająki zawieszają sieci służące jako pułapki na owady. Są i takie gatunki, które pajęczyn nie snują wcale, lecz polują z zasadzki, jednym susem dopadając ofiarę, lub gonią ją, aż uda się ją schwytać. Zdolność snucia „nici" jest właściwa wszystkim pająkom. Umożliwiają im to kądziołki przędne, znajdujące się na końcu odwłoka. Nitki pajęcze służyć mogą różnym celom:

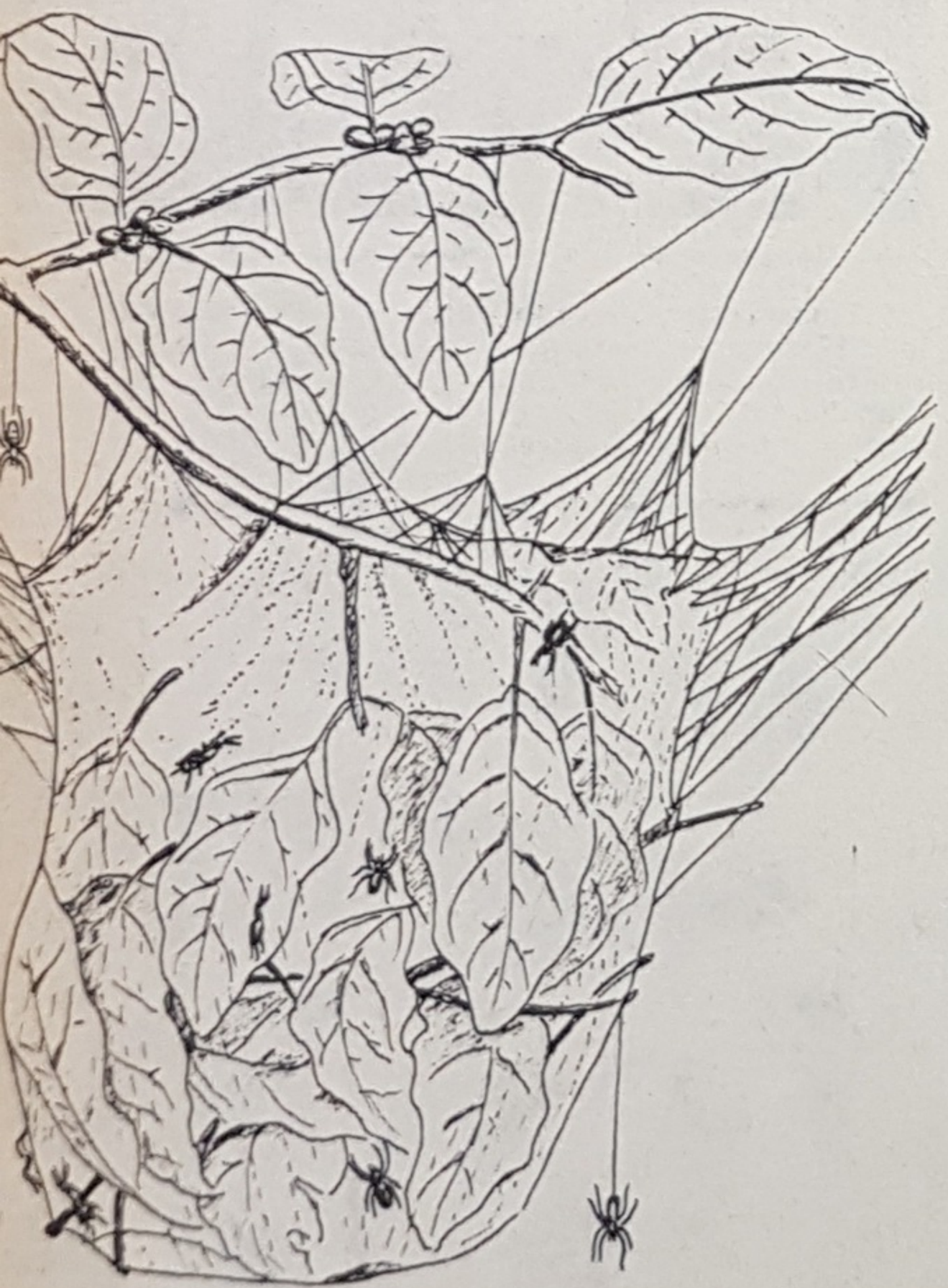

np. wymoszczeniu gniazda, zabezpieczeniu jaj spowijanych w kokon, przenoszeniu się z miejsca na miejsce (babie lato). Pająki zawieszające sieci wykonują swoją pracę z podziwu godną precyzją. Większość z nich samodzielnie buduje swoje pułapki i jest ich jedynym właścicielem. Pająki „sieciowe" są bowiem nietowarzyskie i u wielu gatunków jeden osobnik toleruje obecność drugiego jedynie w okresie godowym. Zdarza się, że odwiedzający pajęczycę zalotnik musi bardzo uważać, by nie zostać przez nią... zjedzonym.

U pewnych gatunków pająków stwierdzono bardzo ciekawy sposób porozumiewania się w okresie godowym. Składający wizytę zalotnik w charakterystyczny sposób szarpie nitki przędzy zawiadamiając tym samym samiczkę, że w pajęczynie pojawił się przyszły adorator, a nie potencjalna ofiara. Trafiają się również gatunki, gdzie para pająków przez pewien czas żyje razem.

Na swoje ofiary pająk czatuje w samej sieci lub czeka przycupnąwszy w pobliżu pułapki. Jest nią połączony jednak za pomocą nici. Gdy ofiara zaplącze się w pułapkę, drgania pajęczyny są za pośrednictwem nitki przekazywane pająkowi, który rozpoznaje, gdzie znajduje się zdobycz.

Znane są powszechnie nietowarzyskie obyczaje pająków. Dlatego prawdziwy podziw wzbudziło odkrycie gatunków prowadzących prawie społeczny tryb życia. Pracują one wspólnie przy budowie pajęczyny, razem polują, często kontaktują się ze sobą, dbają też o potomstwo. O takich właśnie nietypowych pająkach chcę wam dzisiaj opowiedzieć.

Gigantyczna pajęczyna

Ogromną, bo mierzącą 3 metry szerokości, 2 metry wysokości pajęczynę znaleziono na Kubie. Sieć była do tego stopnia obszerna, że oplątywała całe, powalone drzewo, toteż żaden owad wybierający tę trasę przelotu nie miał szans na uniknięcie pułapki. Oczywiście jeden pająk nie zdołałby wytworzyć takiej gigantycznej pajęczyny. Snuło ją około 1000 pająków. Przy bliższym zbadaniu okazało się, że sieć ta składała się z licznych, oddzielnych pajęczyn, połączonych ze sobą mocniejszymi nićmi, tworzącymi rusztowanie. Mniej więcej w środku konstrukcji znajdowało się kłębowisko luźno splątanych nitek, stanowiących schronienie. W tym bezpiecznym miejscu przebywały na ogół samce, natomiast samice chroniły się tam nie tak często. Członkowie tego wielkiego, pajęczego

gniazda nie wykazywali wobec siebie wrogości. Ciekawe, że każda samica samodzielnie opiekowała się swoim potomstwem.

Wspólnota pajęcza

W Wenezueli odkryto gatunek pająków, prowadzących bardzo zaawansowany pod względem społecznym tryb życia. Zwierzęta wspólnie budują dużą sieć, która najczęściej zakładana jest wokół kupki martwych liści (rys.). To miejsce stanowi właściwe schronienie, natomiast zewnętrzna część pajęczyny służy za pułapkę. Mieszkańcy pajęczej kolonii wspólnie obezwładniają i pożerają ofiary. Mniejsze owady zjadane są na miejscu, natomiast większa zdobycz zostaje wspólnymi siłami przetransportowana do schronienia wśród liści i tam dopiero spożywana w spokoju. Mieszkańcy wspólnej pajęczyny często kontaktują się ze sobą, głaszczą się i dotykają wzajemnie. Nie są to, jakby można sądzić — wyrazy sympatii. Do takich uczuć pająki nie są zdolne. Tego typu zachowanie służy prawdopodobnie utrzymaniu więzi społecznej. Mimo, iż pająki żyją razem, niby w wielkiej, zgodnej rodzinie, nie dbają wspólnie o potomstwo. Każda samica troszczy się sama o swoje młode.

Pajęcze przedszkola

Niezwykle ciekawą formę opieki nad potomstwem zaobserwowano u pewnego, występującego w zachodniej Afryce gatunku „społecznego" pająka. Wielka, bo osiągająca średnicę 3 metrów pajęczyna, zakładana jest zwykle w krzakach, gdzieś na granicy tropikalnego lasu. Składa się ona z wielu warstw sieci przędzionych przez setki pająków. Mniejsze ofiary są chwytane i zjadane przez osobnika lub osobniki znajdujące się akurat w pobliżu. Natomiast gdy w sieć zaplącze się jakaś pokaźna sztuka, zbyt wielka, by jeden pająk mógł sobie z nią poradzić, do ataku wyrusza więcej mieszkańców pajęczyny. Dzięki tej taktyce możliwe staje się pokonanie dużej i silnej zdobyczy. Młode pajączki nie biorą udziału w walce. Siedzą w specjalnie skonstruowanych z przędzy schronieniach i czekają, aż dorosłe pająki dostarczą im pożywienia. Wszystkie młode pająki są traktowane tak samo. Nie ma tu uprzywilejowanych, gdyż matki nie potrafią rozróżnić własnego potomstwa od cudzego. Prawdopodobnie samice składają jaja w specjalnie wybranych miejscach i owijają je nićmi, tworząc jeden kokon. Toteż wylęgające się pajączki stanowią wspólne potomstwo różnych matek.

Tekst i rys. Anna Siwkiewicz

100 LAT SAMOCHODU

Włoski samochodzik Fiat-500 w wykonaniu austriackim nosił nazwę Steyer-Puch 650

Rewelacyjny mały samochód Mini produkowany był przez wiele firm angielskich jak Morris, Austin, Riley i Wolseley oraz przez włoską firmę Innocenti

MAŁE SAMOCHODY EUROPEJSKIE

Po II wojnie światowej kraje europejskie były zniszczone, ludzie nie mieli pieniędzy na kupno samochodu. Był popularny tańszy środek lokomocji — motocykl. Ale motocykl nie zabezpieczał jadących przed wiatrem i deszczem, dlatego zaczęto produkować skutery, czyli motocykle z osłonami. Osłony skutera chroniły nogi kierowcy przed wiatrem w czasie jazdy, chroniły ubranie przed zabrudzeniem od silnika, nie chroniły natomiast jadących przed deszczem.

Wady motocykla i skutera spowodowały, że konstruktorzy zaczęli opracowywać małe samochodziki, nazywano je mikrosamochodami. Najpierw były to niezgrabne, nawet śmiesznie wyglądające trójkołowce, napędzane silnikami motocyklowymi. Wkrótce pojawiły się także czterokołowe mikrosamochody. Niektóre z nich mogły przewozić, co prawda w ciasnym nadwoziu, nawet cztery osoby.

Mikrosamochody były małe, budowane z małej ilości materiałów, miały silniki o niewielkiej mocy i były tanie w porównaniu z większymi samochodami.

Takie maluchy budowano głównie w Niemczech Zachodnich i w Anglii. Również Polska produkowała mikrosamochody, nazywane „Mikrus".

W drugiej połowie lat pięćdziesiątych mikrosamochody nieco „urosły". Przyczyniły się do tego dwa kraje — Włochy i Anglia. W innych krajach produkowano także powiększone maluchy, ale najbardziej interesujące były dwa samochody: włoski „Fiat-500" i angielski „Morris Mini".

Włosi już przed wojną zbudowali małego „Fiata", nazywanego „Topolino", czyli „Myszka". Był to mały, dwuosobowy samochód. W 1957 roku wszedł do produkcji nowy maluch, nazywał się „Fiat-500". Był mniejszy od swojego poprzednika, ale miał więcej miejsca dla pasażerów, mogły w nim jechać dwie osoby dorosłe i dwoje dzieci. Pojazd ten miał wielką popularność we Włoszech, był również sprzedawany do innych krajów, a nawet produkowano go w Austrii pod nazwą „Steyer-Puch 500". Na austriackim „Fiacie", wyposażonym w inny silnik, o wyższej mocy, polski kierowca Sobiesław Zasada zdobył swój pierwszy tytuł rajdowego mistrza Europy.

Rewelacyjnym, małym samochodem okazał się angielski „Morris Mini". Produkcję tego pojazdu rozpoczęto w 1959 roku, zresztą produkowany jest do dzisiaj. Samochód ma długość zaledwie 3 metry i 5 centymetrów, a więc taką samą długość jak nasz „Fiat 126p", i może wygodnie przewozić 4 dorosłe osoby. Aby uzyskać dużo miejsca dla pasażerów w tak małym samochodzie, twórca „Mini", pan A. Issigonis, umieścił silnik poprzecznie z przodu pojazdu. Nie był to wcale skromny silnik, miał moc 34,5 KM. Do tych samochodów montowano także silniki o większej mocy, aż 75 KM. Wyposażone w takie silniki małe angielskie wozy wygrywały w latach sześćdziesiątych trzykrotnie słynny Rajd Monte Carlo.

Polska ma również wielki udział w motoryzowaniu Europy małymi samochodami. Produkujemy bowiem od 1973 roku najmniejszy obecnie samochód europejski — „Fiat 126p". Wyprodukowano już ponad 1 600 000 tych pojazdów, z czego 1/3 została sprzedana do wielu krajów, m. in. do Włoch, RFN, Anglii, Belgii, na Węgry, do Bułgarii, Czechosłowacji, a nawet poza Europę — do Chin i na Kubę.

Obecnie istnieje w Europie zapotrzebowanie na większe samochody, ale małe wozy zaspokoiły zapotrzebowanie na samochody wielu ludzi w RFN, we Włoszech, w Polsce i wielu innych krajach.

Tekst i fot.
Zdzisław Podbielski

Od kilku lat najmniejszym europejskim samochodem produkowanym wielkoseryjnie jest Polski Fiat 126p

PRASTARE POCIĄGI

Nie tak dawno, przebywając w zachodniej Anglii, wybierałem się pociągiem z małej osady Thurstaston do trochę większej, ale też leżącej na zapadłej prowincji. Wystarczył mi pierwszy rzut oka na spóźniony mocno pociąg, który wjechał na stację, aby stwierdzić, że zarówno lokomotywa, jak i wagony mają ze sześćdziesiąt lat co najmniej. Oczywiście, nie było przejścia między przedziałami, a w przedziale klamek w drzwiach od środka. Przy wysiadaniu należało opuścić szybę w drzwiach i sięgnąć do klamki przezornie umieszczonej od zewnątrz. Urządzenie to miało zapewnić bezpieczeństwo pasażerom wyglądającym po drodze przez okno. Pociąg stał na stacji dość długo, ale wreszcie ruszył. Nie zdziwiłem się, gdy po pięciu, a może dziesięciu minutach jazdy zatrzymał się w polu. To się nieraz zdarza. Zdziwiłem się po chwili, i to bardzo, gdy spostrzegłem, że nie jedzie dalej, lecz wraca do Thurstaston. Parę osób było w przedziale, ale żadna z nich nie okazała zaniepokojenia z powodu zmiany kierunku podróży. Na moje zapytanie, co to ma oznaczać, odpowiedziano, że z pewnością ktoś zapomniał wysiąść na poprzedniej stacji i dał o tym znać maszyniście, machając chustką przez otwarte okno.

Pociąg wrócił do Thurstaston. Wysiadły z niego trzy panie i udały się do maszynisty, żeby podziękować mu za wyświadczoną uprzejmość. Okazało się, że w ferworze rozmowy nie zauważyły, iż pociąg minął ich stację. Dobre kilka minut gawędziły z maszynistą. Nikomu nie spieszyło się. Panowała rodzinna atmosfera i bez pośpiechu podjęliśmy podróż we właściwą stronę.

Tradycja odgrywa ważną rolę nawet w komunikacji angielskiej, chociaż wiele zmieniło się w wyglądzie i konstrukcji angielskich pociągów od 1814 roku, kiedy to George Stephenson zademonstrował pierwszy parowóz, który ciągnął wagony po szynach z prędkością 6 mil (9,5 km) na godzinę. Początkowo konny wysłannik jeździł przed pociągiem z flagą (w razie mgły z zapaloną latarnią), aby ostrzec przechodniów o grożącym im niebezpieczeństwie, a maszynistę o przeszkodach, na które mógł się natknąć. W 1825 roku, gdy Stephenson dokonał otwarcia nowej linii kolejowej łączącej Stockton i Darlington, a zwłaszcza w rok później, kiedy ze swym udoskonalonym parowozem uruchomił połączenie

Właściciele małych, powolnych pociągów trzymali je w swoich zagrodach

Satyryczny rysunek z angielskiego tygodnika „Punch"

kolejowe między Liverpoolem i Manchesterem, konny wysłannik nie mógł już wyprzedzać pociągu i musiał zniknąć z widowni. Od tej pory datuje się niezwykle szybki rozwój sieci kolejowej w Anglii.

Oprócz dalekobieżnych, błyskawicznych pociągów, zaczęły kursować powolne, małe, przeznaczone do przebywania krótkich dystansów na prowincji. Niejednokrotnie sam właściciel pociągu wyjeżdżał z zagrody, zabierając po drodze dzieci udające się do szkoły, a gospodynie i rolników na targ do pobliskiego miasteczka. Powstało tak wiele linii kolejowych, że w XX wieku, po wprowadzeniu komunikacji samochodowej, stały się niepotrzebne i wiele ich uległo likwidacji. Jednak część spośród tych pradawnych nadal pełni służbę. Niektóre, jako zabytkowe, znajdują się pod ochroną.

Angielski grafik, Rowland Emett, zafascynowany starymi pociągami, rysował je dla humorystycznego tygodnika „Punch". Nie poprzestał na konkretnych wzorach. Z fantazji wysnuwał pociągi, jakie kursowałyby przed paroma wiekami, gdyby istniały za panowania dynastii Tudorów, za Henryka VIII. Ich wizerunki też umieszczał w „Punchu" i stały się w Anglii tak popularne, że przyjęło się tam każdy stary pociąg nazywać „emettem".

W lipcu 1965 roku obchodzono stulecie uruchomienia linii kolejowej między walijskimi stacyjkami Talyllyn i Towyn. Ten sam parowóz, który przed wiekiem wyruszył w pierwszą podróż, wiózł gości zaproszonych na tę uroczystość. W Towyn oczekiwali go dziennikarze, liczna publiczność i listonosz ubrany w mundur sprzed stu lat, z wózkiem zaprzężonym w kuca, jakim w 1865 roku rozwożono pocztę. W 1985 roku 120-letni parowóz nadal ciągnie starodawne wagony. Zatrzymuje się po drodze, kiedy maszynista np. musi spędzić krowę z toru kolejowego.

Stefan Majchrowski

PŁOMYCZEK

DWUTYGODNIK DLA DZIECI

ADRES REDAKCJI:

ul. Spasowskiego 4,
skr. pocztowa 380
00-950 Warszawa
Tel. 26-27-24

WYDAWCA:

Instytut Wydawniczy
„Nasza Księgarnia"

CENA PRENUMERATY:

kwartalnie — 90 zł,
półrocznie — 180 zł,
rocznie — 360 zł.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:

Elżbieta Brzoza, Zdzisław Byczek (redaktor graficzny), Tadeusz Chudy (redaktor naczelny), Piotr Czech (redaktor techniczny), Maria Czernik, Alicja Olszewska (sekretarz redakcji), Stefan Rutkowski (fotoreporter), Teresa Wilk-Białożej

WARUNKI PRENUMERATY:

— osoby mieszkające na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", oraz instytucje z tych miejscowości, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;

— osoby zamieszkałe w miastach oraz instytucje i zakłady pracy w miastach, w których są oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych w miejscu zamieszkania lub siedziby prenumeratora: wpłaty dokonują na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch", używając „blankietu wpłaty".

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

TERMIN przyjmowania prenumeraty:

— do dnia 10 listopada br. na I kwartał, I półrocze oraz cały rok następny;

— do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty w 1985 r.

Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca, Kraków, ul. Wadowicka 8. Papier rotac. 70 g, rola 75 cm, kl. V, I rotogr. 125 g, 86 × 122 cm, kl. V.

Zam. 1649/85

Nakład 430.370 egz.

L-7

INDEKS 36875

FOLKLOR POLSKI

Stroje łowickie, jakie pokazujemy na zdjęciu, były w użyciu na obszarze położonym na zachód od Warszawy, w dolinie rzeki Bzury. Spódnica tancerki to typowy dla tego regionu wełniany pasiak łowicki, usztywniony podszytą pod spód nakrochmaloną podszewką. Stanik z czarnego aksamitu ozdobiony jest wyszywanymi jedwabną nicią różami.

Strój męski — to pomarańczowo-czarne pasiaste spodnie, czarny kaftan zapięty na jeden rząd metalowych guzików i czarny kapelusik ozdobiony różnokolorową taśmą.

Poniżej obejrzeć możecie barwną wycinankę łowicką wykonaną przez twórczynię ludową.

Tekst i zdjęcia:
Tadeusz Samborski

CENA 15 ZŁ